

Nasza Parafia

Informator Ewangelicko – Augsburskiej
Parafii Wniebowstąpienia Pańskiego
w Warszawie

Nr 5 (168) – maj 2015 roku

Hasło miesiąca: Wszystko mogę w tym, który mnie wzmacnia,
w Chrystusie. Flp 4, 13.

ks. dr Dariusz Chwastek

Ja żyję i wy żyć będziecie

Jeśli mnie miłujecie, przykazań moich przestrzegać będziecie. Ja prosić będę Ojca i da wam innego Pocieszyciela, aby był z wami na wieki – Ducha prawdy, którego świat przyjąć nie może, bo go nie widzi i nie zna; wy go znacie, bo przebywa wśród was i w was będzie. Nie zostawię was sierotami, przyjdę do was. Jeszcze tylko krótki czas i świat mnie oglądać nie będzie; lecz wy oglądać mnie będziecie, bo Ja żyję i wy żyć będziecie (J 14, 15-19).

Drogie siostry i bracia w Jezusie Chrystusie!

Któż z nas lubi pożegnania? Kto ma upodobanie w rozstaniach? Uczniowie Jezusa także czują, że wielkimi krokami zbliża się ich definitywne rozstanie z Jezusem. Mistrz ze swej strony robi wszystko, by odpowiednio przygotować ich na rozstanie, które nieuchronnie nastąpi. Pożegnanie oznacza rozstanie, a rozstanie równoznaczne jest z jakąś stratą. A my z doświadczenia wiemy, że każda strata sprawia ból! Nikt raczej tego nie lubi. Jednak życie nikomu z nas tego nie oszczędza.

Nie możemy się więc dziwić, że również uczniowie nie mogą sobie poradzić ze zbliżającym się rozstaniem z Jezusem. Nieustannie gromadzą się wokół Niego, panuje podniosła atmosfera, którą Jezus wykorzystuje do tego, by w jakiś sposób przygotować ich do rozłąki. Jednak okazuje się, że te przygotowywania do momentu pożegnania zaczynają się niemiłosiernie dłużyć. Być może nawet stają się nieprzyjemne. U ewangelisty Jana pożegnanie rozciąga się aż na cztery rozdziały! Znajdujemy w nich nie tylko jedną mowę pożegnalną, lecz nawet szereg mów! Uczniowie wiedzieli, że odchodzi od nich Ten, kto wprowadził ich w zupełnie nowy horyzont życia! Teraz życie bez Niego wydaje się im nie do pomyślenia!

Jezus to czuje – zna ich przecież bardzo dobrze. I nazywa rzeczy po imieniu: z jednej strony mówi, co będzie oznaczać Jego odejście, co znaczą rozstanie i strata, a z drugiej nie bagatelizuje tego, że uczniowie są przerażeni perspektywą rozstania. Powiada więc do nich: „Nie zostawię was sierotami, przyjdę do was”. Dzięki tej obietnicy uczniowie mają okazję spojrzeć na rozstanie z Jezusem inaczej: z dystansem, ale pozytywnie. Owszem, doświadczenie straty zbliża się jako coś bolesnego i nieuniknionego, ale właśnie dzięki obietnicy Jezusa otrzymuje ono nowy wymiar.

Każde słowo Jezusa przed rozstaniem z uczniami staje się niezwykle ważne. Mimo że ci do końca jeszcze nie rozumieją, dlaczego Jezus musi od nich odejść, to jednak słyszą na własne uszy, że nie pozostaną sami. Dokładnie brzmi to tak: „Ja prosić będę Ojca i da wam innego Pocieszyciela, aby był z wami na wieki”. Kim będzie więc ów inny Pocieszyciel? – zastanawiają się uczniowie. Skoro będzie Kimś innym, znaczy to, że nie będzie identyczny z Jezusem! – wnioskują. Ale uspokajają się wreszcie, zwłaszcza, że Jezus mówi do nich, że ów Pocieszyciel jest Duchem Prawdy! On nauczy dopiero rozumienia życia na nowo. Zapewne nie jest łatwe rozpoznawanie tego Ducha. A zwłaszcza nie jest to łatwe przy pożegnaniu, czyli w owej sytuacji rozstania oraz zbliżającego się osamotnienia. Pojawia się więc pytanie, jak rozpoznać to, w jaki sposób Jezus jest obecny w naszym świecie?

Pewną pomocą przy odkrywaniu tego, w jaki sposób ukrzyżowany i zmartwychwstały Chrystus jest obecny w naszej doczesności, może być na przykład cisza! Wiadomo, że dopiero we względnej ciszy można cokolwiek usłyszeć. Co więcej, tylko w ciszy daje się usłyszeć to, co nie pochodzi z tego świata. Co ten znany nam świat nie powiedziałby nam nigdy, nawet gdyby się bardzo wysilił. Co do tego Jezus nie pozostawił uczniom żadnych wątpliwości, powiadając, że „Ducha prawdy świat przyjąć nie może, bo go nie widzi i nie zna”.

Przywołam poniżej postać ks. Dietricha Bonhoeffera, którego w tym roku wspominamy w szczególny sposób ze względu na 70-tą rocznicę jego śmierci (obszerniejsze informacje na temat jego życia i twórczości zostały zawarte w kwietnionym numerze naszego biuletynu). Mniej więcej od połowy dramatycznych czasów drugiej wojny światowej był skazany na odizolowanie, a więc i na przymusowe przebywanie w ciszy. Nie mógł się często kontaktować ze swoimi najbliższymi, a także relacje z najbliższym otoczeniem były bardzo utrudnione. Pozostawały mu tylko listy, lektura i cisza właśnie.

Skierujmy teraz naszą uwagę na ostatni, najtrudniejszy okres życia ks. Bonhoeffera. – Jest grudzień 1944 r. Cela w piwnicy więzienia gestapo w Berlinie. Wybitny teolog ma za sobą prawie dwa lata pobytu w zakładzie penitencjarnym. Już jest jasne, że brał czynny udział w ruchu oporu. On już wie, co to dokładnie znaczy: wyrok śmierci.

W takim położeniu doświadcza odosobnienia i ciszy, które czynią go niebywale wrażliwym! Dlatego można obrazowo powiedzieć, że jest w objęciach Ducha Prawdy. Najlepiej chyba dochodzi to do głosu w jednym listów (z 19 grudnia) zaadresowanych do swojej narzeczonej: „Czuję, jakby dusza w samotności tworzyła nowe organy, których w zwyczajnej codzienności prawie nie znamy”. I dalej: „Nawet przez chwilę nie czułem się jeszcze ani samotny, ani opuszczony. Ty, rodzice, wy wszyscy przyjaciele i uczniowie na froncie zawsze jesteście dla mnie bardzo obecni. Wasze modlitwy i dobre myśli, słowa z Biblii czy dawno zapomniane rozmowy, utwory muzyczne i książki żyją we mnie tak realnie, jak nigdy przedtem”.

Drodzy, możemy powiedzieć, że to są niebywałe skutki działania owego Ducha Prawdy, Pocieszyciela. Dzięki Niemu człowiek nie jest sam. Moja własna, osobista sytuacja życiowa jest w ręku Tego, który ogarnia swoim działaniem wszystkie nasze sytuacje. Jezus powiedział: „Ja żyję i wy żyć będziecie”. Bo On przewyciężył świat. I jako taki jest na tym świecie nadal! Dlatego więc w ciszy znaczenia nabierają nagle odbyte niegdyś rozmowy, wysłuchane utwory muzyczne czy przeczytane

książki. To wszystko razem wzięte świadczy o tym, że człowiek nigdy nie jest sam. Nigdy więc nie musi się czuć samotny! Jesteśmy pod opieką Jezusa, który przez działanie Ducha Świętego jest ciągle z nami. On jest w nas nieustannie zbawczo obecny. Tak, cisza pozwala tego doświadczać, o czym niezbitcie świadczy los ks. Bonhoeffera. W grudniu 1944 roku w piwnicy gestapo notował niezwykle proste, ale jakże głębokie słowa: „Przez moc Twą, Panie, otoczony, przeżywać mogę każdy dzień i rok. Wiernością Twoją jestem pocieszony, wiem, że mnie wiedzie Twej miłości wzrok. Gdy dobra moc Twa stale mnie ochrania, nie lękam się, co mi przyniesie dzień. Ty jesteś ze mną ciągle od zarania, Ty chronisz mnie, gdy idzie nocy cień” (słowa pieśni nr 100 – *Śpiewnik ewangelicki*).

Autor wysłał swojej narzeczonej ten wiersz wraz z listem, który kończył się takimi słowami: „[...] istnieje wielkie, niewidzialne Królestwo, w którym się żyje i co do którego realności nie ma się żadnych wątpliwości”.

Prawdą jest, że nikt nie lubi rozstań, ale jeszcze ważniejsze jest, że nikt nie jest opuszczony, „bo Duch prawdy przebywa wśród was i w was będzie” – o czym Jezus zapewnia każdą i każdego z nas. Amen.

ks. dr Dariusz Chwastek



27 marca pani Lidia Messerschmidt, nazywana też z sympatią przez wielu zaprzyjaźnionych Lidzią, skończyła 105 lat! Nie wiem, która jeszcze parafia może poszczycić się równie piękną rocznicą, do tego parafianki, która niejednego z nas zawstydza obecnością na prawie wszystkich nabożeństwach. Ciepła, serdeczna, uśmiechnięta i niezwykle skromna. Chcieliśmy, by te nadzwyczajne urodziny miały szczególną oprawę, ale się nie zgodziła. Być może takie fetowanie dostarczyłoby zbyt silnych wzruszeń, których byśmy chcieli naszej Drogiej Jubilatce oszczędzić. Było więc skromnie, ale ciepło i serdecznie, z kawą ciastem i tortem w naszej sali parafialnej, życzeniami (również śpiewanymi), prezentami. Przedstawiciele naszej młodzieży mieli odwiedzić Lidzię i przeprowadzić z nią wywiad, zrobić zdjęcia, nakręcić krótki film. Niestety ze względów od nich niezależnych do wywiadu nie doszło. Nie możemy jednak tych urodzin pominąć w naszym biuletynie, dlatego zamieszczamy poniższy tekst, dziękując autorce za jego przygotowanie. //

LIDUSIA MESSERSCHMIDT

Któż z nas nie zna Lidusi Messerschmidt, naszej wieloletniej, wiernej Kościołowi parafianki!

W tym roku, w niedzielę obchodziliśmy Jej 105 urodziny. Było świętecznie i uroczyste. Lidusia była zaskoczona tak wieloma osobami, które podchodziły do niej, by Jej osobiście złożyć życzenia i ją ucałować. Były prezenty i kwiaty.

*

Historia Lidusi była niezwykła, tak jak niezwykłe były to wówczas czasy. Urodziła się w 1910 r. w Warszawie. 4 lata później wybuchła I wojna światowa. Ojciec, policjant – Rosjanin, podejmuje decyzję wyjazdu do Rosji (Moskwa) z uwagi na najazd Niemców na Warszawę. Wyjeżdżają również: babcia, mama i 3 córki (Lidusia – 4 lata, Nina – 2,5, Wiera – 1 rok). Mijają 3 lata nie najlepsze. W 1917 r. w Rosji wybucho rewolucja. Czerwonarmiści wpadają do mieszkań w poszukiwaniu Białogwardystów, niszcząc arystokrację i właścicieli dóbr ziemskich. Jest ogólny chaos, nędza i głód. Ojciec ukrywa się, zajmuje się kupnem i sprzedażą materiałów (manufaktura).

W 1920 r. mama Lidusi podejmuje decyzję o powrocie do Polski. Powrót trwa 3 miesiące, jest możliwy dzięki polskim kolejarzom, którzy przybyli do Rosji do pracy. Wobec panującej tam anarchii podejmują sami pracę nad układaniem zniszczonych torów kolejowych. Jazda odbywa się etapami w miarę czasu niezbędnego na ich naprawę.

Doskwiera wielki głód i brak wody, zwłaszcza dla małych jeszcze dzieci. Dostępne są tylko ryby (bardzo słone) i pomarańcze (bardzo gorzkie). Dojeżdżają wreszcie do Modlina i dalej do Warszawy.

W Warszawie udaje się matce kupić mały pokój na Pańskiej 45. Rodzina w dalszym ciągu cierpi głód. Mama bardzo ciężko pracuje, zarabia szyjąc rękawiczki (w szwalni). W domu z dziećmi opiekuje się babcia, po jej śmierci stara się pomagać sąsiadka przynosząc dzieciomrosołki.

Jest ciężko, w Warszawie panuje hiszpanka. Mama udaje się do ks. Lotha z prośbą o pomoc. Ks. Loth obiecuje zająć się sprawą opieki nad dziećmi. Przychodzi ks. Rygier – umieszcza dzieci w Domu Sierot na ul. Karolkowej 77. Lidusia ma 10 lat, Nina 9, Wiera – chorowita umiera w 1920 r. W Domu Sierot dzieci przebywają 5 lat, uczą się w szkole. Lidusia jest konfirmowana przez ks. Lotha w 1925 r.

Parę lat później życie odmienia się na lepsze. Przyjeżdża z Włoch ciocia Wanda na zaproszenie znanego warszawskiego cukiernika, pana Nardellego, który wznawia działalność otwierając na nowo cukiernię i zaprasza ciocię do dalszej współpracy. Tam również znajdują pracę obydwie siostry jako ekspedientki. Mama zarabia w dalszym ciągu szyciem. Jest nareszcie lepiej.

Nadchodzi 1939 rok. Wybucho II wojna światowa. Następuje czas okupacji niemieckiej. Niemcy tworzą wydzielone dzielnice żydowskie. Mama z córkami zmuszona jest do przeprowadzki z ul. Pańskiej, gdzie Niemcy tworzą getto żydowskie w 1940 r, na ul. Piękną.

1 sierpnia 1944 r. wybucho powstanie. Trwa 2 miesiące. Po upadku powstania mieszkańcy W-wy muszą w asyście niemieckich żandarmów opuścić spalone miasto. Rodzina zostaje wywieziona do obozu w Pruszkowie. Siostry Lidusia i Nina

zostają rozdzielone od matki i skierowane do pracy w gospodarstwie rolnym w Niemczech. Spotyka się tam 70 warszawianek. Lidusia zaprzyjaźnia się z Halą Felnagel. Siostry dręczą myśl co dzieje się z mamą. Lidusia prosi codziennie Boga o pomoc w jej odnalezieniu, drży o jej zdrowie. Kocha mamę nad życie.

Wreszcie, po kilku miesiącach dociera do nich list od mamy dzięki pomocy właściciela warsztatu naprawy rowerów w Piasecznie, u którego mama się zatrzymała. W wyszukaniu adresu pomocny okazał się pewien uczciwy Niemiec, kiedy to już stawało się przeczulalne, że zbliża się koniec wojny. Wiadomo już i w Niemczech, że zbliżają się Rosjanie, bombardują Berlin.

Lidusia z Niną nareszcie odzyskują spokój o zdrowie mamy. Nadchodzi koniec wojny, obóz nagle pustoszeje, Niemcy uciekają. Lidusia z Niną i Halą Felnagel, za radą spotkanego Polaka postanawiają na własną rękę wracać do domu.

Okoliczne domy niemieckie opustoszały, w tychże domach mogły przenocować i wreszcie najadać się do syta, korzystając z pełnych spiżarni pracowitych niemieckich gospodyń. Po 4 dniach nadchodzi nagle – cud! Na pobliskim drzewie napis: „Rzeczpospolita Polska”. Cóż to za wzruszenie i radość! A dalej same zniszczenia i nareszcie Warszawa – w gruzach.

Na ul. Pięknej znalazły punkt Czerwonego Krzyża, tam spotkały Polki, które również wróciły z obozów, tam była możliwość umycia się i odpoczęcia. Następnie dotarły do Piaseczna i odnalazły dom, w którym zatrzymała się mama. Powitała córki płacząc z radości.



Zamieszkały razem z mamą w przydzielonym im z trudem – przez miejscową władzę – pokoju. Znajomy mamy z Piaseczna otworzył w W-wie sklep rowerowy, tam Lidusia dostała pracę ekspedientki.

Tam też przypadkowo poznała pana, którego interesowała sprawa naprawy opony rowerowej, który w trakcie przyjemnej rozmowy przedstawił się jako ksiądz ewangelicki, Karol Messerschmidt. Lidusia wyznała, że również jest ewangeliczką. Poznała również brata księdza, Henryka Messerschmida, byłego lotnika RAF'u, który wrócił z Anglii do Polski. Henryk został przyjacielem domu. Po kilku latach znajomości, już po śmierci mamy, Lidusia decyduje się na małżeństwo.

Jest szczęśliwa. Niestety po 3 latach Henryk umiera na zawał. Lidusia zostaje sama w Piasecznie.

Informacje te uzyskałam podczas sympatycznych wizyt u Lidusi, która lubiła wracać do wspomnień.

*Halina Wolff
24.04.2015*

Radość konfirmacji?

KS. WŁODZIMIERZ NAST

O uroczystości konfirmacji w Kościele Ewangelicko-Augsburskim.

Jesteście przyjaciółmi moimi, jeśli czynić będziecie, co wam przykazuję.
Już was nie nazywam sługami, bo sługa nie wie, co czyni pan jego;
lecz nazywam was przyjaciółmi, bo wszystko, co słyszałem od Ojca mego,
oznajmiłem wam. J 15,14.15.

Wytrwać w wierze

Słowa te odczytał przed trzydziestu laty ks. Zygmunt Michelis, proboszcz warszawskiej parafii Świętej Trójcy, gdy przed jego ołtarzem stanęła grupa młodzieży. Najstarsi z nas mieli już po dwadzieścia lat, najmłodszy szesnaście. Taka była, jeszcze do niedawna, tradycja stołecznego zboru. Pamiętam, że odebraliśmy te słowa jako mandat zaufania udzielony w dniu naszej - kościelnej matury. Doświadczony duszpasterz miał czas dobrze nas poznać. Nie należał do tych, którzy surowo egzekwowali znajomość objaśnień katechizmowych. Zwykle mawiał: - I co z tego, że będziecie dobrze znali formułki, a w swym życiu nie będziecie się do nich stosować. Poznajcie dobrze treść i ducha Słowa Bożego, a ono owaładnie wami skutecznie i prawdziwie. Przemówił do nas żarliwie i z wielką miłością, jako do tych, których Chrystus przyjmuje do grona swoich przyjaciół. Podczas nauki konfirmacyjnej oznajmił nam to wszystko, co usłyszał od niebiańskiego Ojca; my zaś mamy nie tylko wyznać swoją wiarę i ślubować posłuszeństwo, ale nade wszystko czynić to, co On nam przykazuje.

Usłyszeliśmy i takie słowa, które mogły zakłócić radosny i podniosły charakter uroczystości:
- Moi drodzy, zastanówcie się dobrze, czy rzeczywiście chcecie być przyjaciółmi Jezusa Chrystusa i spełniać gorliwie Jego wolę! Czy chcecie uczciwie ślubować wytrwanie przy Nim w wierze i posłuszeństwie. Jeśli żywicie jakieś wątpliwości, to lepiej będzie, jeżeli ten, w którego sercu one zagościły, odejdzie sprzed ołtarza i przyjdzie kiedy indziej, by teraz nie zgrzeszył swą nieszczerością!

Nikt nie odszedł. Jednak po pewnym czasie o kilku osobach z naszego grona słuch zaginał. Niektórzy się rozproszyli, ale trwają w wierze i swym Kościele. W macierzystej parafii pozostało nas siedmioro.

Zachować radość na dłużej

Artykuł ten rozpocząłem osobistym akcentem sięgającym w przeszłość. Konfirmacja jest wspomnieniem radosnego i jedyne w swoim rodzaju dnia w moim życiu. Radość konfirmacji staje się żywa, gdy nie ogranicza się jedynie do wspomnień zawartych w pożółkłym świadectwie, fotografiach czy na kasecie wideo, ale w rzeczywistej aktywności w Kościele, otwartym na potrzeby bliźniego sercu czy chociażby w obecności na nabożeństwach, przystępowaniu do Sakramentu Stołu Pańskiego, które wynikają z potrzeby i pragnienia.

Konfirmacje stanowią niezbywalną część życia naszego Kościoła. Są powodem do dumy, ale i troski. I to nie tylko dlatego, że są w naszym Kościele parafie, w których do ślubowania konfirmacyjnego staje corocznie kilkadziesiąt młodych osób. Wiele jest takich, w których na tego rodzaju uroczystość czeka się kilka lat. Bardzo często jedną czy kilka osób łatwiej jest przygotować, do każdej można dotrzeć, nie tylko przez naukę, ale poznanie radości i problemów. W liczniejszej grupie niejedno może ująć uwadze. Do młodego człowieka z takiej grupy nie jest łatwo dotrzeć. Wprawdzie tłumne uroczystości kościelne podnoszą na duchu, zwłaszcza wiernych z diaspory, ale te mniej liczne i skromniejsze są może głębiej przeżywane przez samych konfirmantów, ich rodziny i całą parafię.

Dobre i złe zwyczaje

Nie wątpię, że dla trzynasto-, czternastolatka praktykowany w wielu parafiach i rodzinach zwyczaj przeprosin przed przystąpieniem po raz pierwszy do Sakramentu Ołtarza jest wielkim przeżyciem, ale właśnie ze względu na dużą liczbę konfirmantów w dniu ich uroczystości, nie ma zwyczaju, aby rodzice, rodzeństwo i krewni wspólnie z nimi przystępowali do Komunii Świętej. W mniejszym gronie łatwiej uniknąć powierzchowności i to nie przez „reżyserię” uroczystości i prawdziwie rodzinny charakter nabożeństwa konfirmacyjnego, ale przez możliwość bardziej osobistego związku młodego człowieka z jego parafią i faktu, że liczy się na niego jako na odpowiedzialnego chrześcijanina.

Można odnieść wrażenie, że idealizują sytuację, w której konfirmanci z niewielkich grup będą znacznie poważniej przeżywać podniosłość i radość swojej konfirmacji i później aktywniej włączać się w działalność macierzystej parafii. Daleki jestem od takiego uogólnienia, aczkolwiek spotkałem już młode osoby z licznych grup konfirmacyjnych, które będąc konfirmowanymi w siódmej klasie szkoły podstawowej, wykazywały jeszcze wielką niedojrzałość. Urok i radość uroczystości rychło prysły, a później, gdy szerzej otwartą się ich oczy wiary, swoją konfirmację oceniali jako niewiele znaczący epizod.

Dowartościować dziecko

Dotknąłem, może niechcący, dyskusowanego nie tylko w naszym Kościele właściwego wieku konfirmantów. Jakie są kryteria dojrzałości, samodzielności myślenia i zrozumienia podstawowych prawd wiary. Czy nie przeceniamy podejścia rozumowego, a zapominamy o stwierdzeniu ks. Marcina Lutra z rozdziału „O Sakramencie Ołtarza” z Dużego Katechizmu: „Niechże przeto każdy ojciec rodziny wie, że wedle rozkazu i przykazania Bożego jego obowiązkiem jest nauczać lub kazać uczyć swoje dzieci tych rzeczy, które znać powinny. Skoro bowiem zostały ochrzczone i przyjęte do społeczności chrześcijańskiej, powinny również korzystać ze wspólnoty sakramentu, aby nam mogły służyć i być użyteczne oraz wspomagać nas w wierze, miłości, modlitwie i w walce z szatanem”.

Jakże słowa te dowartościowują dzieci, które przez Chrzest zostały przyjęte do chrześcijańskiej społeczności, by później przez nauczanie mogły osiągnąć gotowość do korzystania z dobrodziejstw Sakramentu Ołtarza i wspierać dorosłych w ich doświadczeniach duchowych. Nie ma w nich mowy o żadnych kryteriach wiekowych.

Nie chcę przez takie stawianie problemu być obrazoburcą czy negować przyjętych w naszym Kościele zwyczajów. Dotyka to spraw, które u nas nie są problemem, a które włączają w Kościołach skandynawskich są żywo dyskutowane i praktykowane. Chodzi o rozgraniczenie konfirmacji od przystąpienia po raz pierwszy do Sakramentu Ołtarza, a więc o pytanie, czy uświęcona tradycją uroczystość kościelna może być „furtką” uprawniającą do korzystania z Sakramentu Ołtarza.

Mam nadzieję, że tych kilka myśli usprawiedliwia nieco przewrotny tytuł artykułu, w którym pojawia się znak zapytania. Oznacza to, że potrzebna jest nie tylko zaduma, ale i dyskusja nad konfirmacją rozumianą jako rzeczywiste potwierdzenie i umocnienie w wierze mające wpływ na całe nasze życie duchowe, a nie tylko jako radosna i podniosła uroczystość będąca okazją do życzeń, prezentów czy okolicznościowych pamiątek.

ks. Włodzimierz Nast

Ks. dr Włodzimierz Nast jest emerytowanym proboszczem ewangelicko-augsburskiej parafii Świętej Trójcy w Warszawie i byłym kierownikiem Katedry Teologii Praktycznej Chrześcijańskiej Akademii Teologicznej w Warszawie. Artykuł pochodzi ze "Zwiastuna" nr 8/99.

Spotkanie rad parafialnych Parafii Diecezji Warszawskiej

25 kwietnia 2015 r. w sali Luteraneum Parafii św. Trójcy w Warszawie z inicjatywy Rady Diecezjalnej odbyło się spotkanie przedstawicieli rad parafialnych Parafii naszej Diecezji. Tematem spotkania była rola rady w rozwoju życia parafialnego oraz jej odpowiedzialność i przywilej budowania przyszłości Parafii. Wprowadzenie do dyskusji przygotował ks. dr Marcin Undas, który w swym wystąpieniu położył nacisk przede wszystkim na spoczywający na członkach rad parafialnych obowiązek wspierania i inspirowania duszpasterzy w duchowym budowaniu Parafii poprzez modlitwę oraz aktywne zaangażowanie radnych w religijne życie społeczności zgodnie z ideą powszechnego kapłaństwa.

W drugiej części spotkania omówienia znowelizowanego regulaminu parafialnego w punktach dotyczących zasady reprezentowania Parafii podjął się prawnik p. Artur Jakubanis, który jest członkiem zespołu zajmującego się nowelizacją i dostosowaniem zapisów prawnych naszego Kościoła do obowiązującego prawa cywilnego.

Zebrani jednomyślnie poparli kontynuowanie spotkań w ramach Diecezji.

Następne spotkanie, którego termin wyznaczy Rada Diecezjalna odbędzie się w naszej Parafii.

Najserdeczniejsze życzenia składamy naszym Jubilatom:

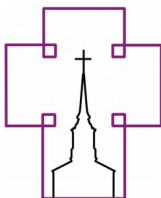
Stefanowi Laube – 3 maja
Marii Situmorang – 6 maja
Krystynie Wereszczak – 7 maja
Annie Deeg – 14 maja
Helenie Netzlaw – 14 maja
Danucie Quandt – 15 maja
Zofii Czeremińskiej – 17 maja

Jerzemu Stefani – 17 maja
Ewie Ziegler – 17 maja
Hannie Niemczyk – 18 maja
Mirosławowi Sztranc – 21maja
Anicie Majdeckiej – 22 maja
Eldzie Werner – 29 maja
Marii Karuk – 30 maja

Miłosierdzie, pokój i miłość niech będą waszym udziałem w obfitości (Jud 1,2).

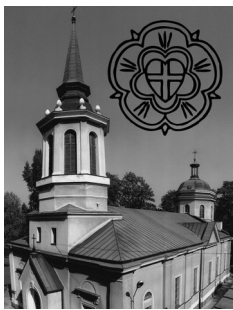
©Nasza Parafia – Informator Rady Parafialnej PE-A Wniebowstąpienia Pańskiego w Warszawie

Redakcja: Łucja Cholewik, Dariusz Chwastek, Adam Golański, Jolanta Janowska i Małgorzata Weigle.



Drodzy czytelnicy, pragniemy poinformować, iż na naszej parafialnej stronie internetowej <http://www.pulawska.luteranie.pl/> istnieje możliwość pobrania informatora „Nasza Parafia” w formie elektronicznej (pdf) a także w formie spakowanej (zip) w postaci podzielonej na strony do samodzielnego wydrukowania. Będziemy Państwu wdzięczni za przekazywanie wszelkich uwag i propozycji dotyczących pisma na adres mailowy parafii: pulawska@luteranie.pl lub bezpośrednio do p. Adama Golańskiego, który zajmuje się wszelkimi sprawami technicznymi związanymi z jego wydawaniem: adam.golanski@gmx.com

Parafia Ewangelicko-Augsburska Wniebowstąpienia Pańskiego ul. Puławska 2a
02-566 Warszawa, tel./fax 22 849 77 05 ☎ nr konta: 51-1020-1068-0000-1802-0000-0315
Godziny pracy kancelarii: pn., pt.: 10:00 – 13:00; wt., śr., czw.: 15:00 – 18:00; niedz.: 11:30 – 12:30



Nasza Parafia

Informator Ewangelicko – Augsburskiej
Parafii Wniebowstąpienia Pańskiego
w Warszawie

Nr 5 (168) – maj 2015 roku

Dodatek historyczny „Naszej Parafii”

Gdy myślę: Ojciec ...

Pastor Leopold Matz (1907-1991) we wspomnieniach córki



Jedyna córka pastora Leopolda Matza, Bożena jest naszą parafianką. Ma niemal 80 lat i mieszka samotnie na Rakowcu. Długo namawiałam ją na rozmowę o ojcu. Gdy zbierałam materiały do mojej książki o ks. Oskarze Ernście, odwiedziłam również p. Bożenę, cioteczną wnuczkę nowodworskiego proboszcza. Te rozmowy o odległym krewnym zbliżyły nas do siebie na tyle, że Bożena Matz zdecydowała się w końcu opowiedzieć mi także o swoim rodzicu. Spotykaliśmy się kilkakrotnie i te kontakty nie były łatwe dla żadnej z nas: ani dla córki pastora, która wiele razy musiała przebijać się przez mroki niepamięci czy niewiedzy, odwoływać do zdarzeń wypartych ze świadomości, do spraw osobistych, często wręcz intymnych, ani dla mnie, osoby dla niej obcej, gdy pytałam o kwestie rodzinne, bolesne i niejednoznaczne, na pewno trudne. Ale przekonałam panią Bożenę, że trzeba o tych sprawach mówić, by poprzez jednostkową biografię jej ojca próbować pokazać tragizm losu wielu ewangelików pokolenia czasu wojny.

Maria Kaucz

Pastor Leopold Matz wkrótce po ordynacji.
Warszawa, 1933 r.

Ojciec urodził się 23 sierpnia 1907 roku w Głowińsku. Była to wieś kolonistów niemieckich niedaleko Rypina, ale mieszkali tam również Polacy. Dziadkowie (babcia Lidia, imienia jej męża Bożena nie pamięta) byli rolnikami. Mieli dość duże, zadbane gospodarstwo, dziadek cieszył się poważaniem otoczenia, dlatego został wybrany na sołtysa. Językiem domowym był niemiecki, ale cała rodzina mówiła dobrze po polsku, o czym Bożena mogła się przekonać, gdy dwukrotnie w dzieciństwie w czasie okupacji przebywała nieco dłużej u dziadków. Matzowie mieli czworo dzieci, z których wykształcenie zdobył jedynie najstarszy syn Leopold, nazywany zdrobniale Leo.

Bożena niewiele wie o dzieciństwie ojca. Spędził je w Głowińsku, w gospodarstwie rodziców. Najpewniej chodził do miejscowej szkoły, a po jej ukończeniu – do gimnazjum w Rypinie. Tam też został konfirmowany. Był zdolny i dobrze się uczył. O wyborze kierunku przyszłych studiów zdecydował za syna z pewnym wyprzedzeniem dziadek. Matz senior, który podobno kilkakrotnie, z racji pełnionego urzędu, gościł u siebie przyszłego biskupa, ks. Juliusza Burschego, objeżdżającego pobliskie tereny w związku z akcją plebiscytową i agitującego swoich współwyznawców, by opowiedzieli się za Polską, był tak zafascynowany postacią zwierzchnika naszego Kościoła, iż zadeklarował, że jego najstarszy syn zostanie duchownym. Te ambicje rodzica rozmięły się nieco z zainteresowaniami młodego Leopolda, który po zdaniu matury (w 1926, może 1927 roku?) w gimnazjum w Rypinie wyjechał na studia do Warszawy.

W tajemnicy przed rodziną został jednak studentem bynajmniej nie teologii, ale wydziału elektrycznego Politechniki. Niemal przez rok udawało mu się ukrywać rzeczywisty kierunek studiów, ale wreszcie najbliżsi, poinformowani przez jednego z wujów, pracującego w stolicy, o całej sytuacji, wstrzymali pomoc i finansową (dziadek), i rzeczową (wyśmienite „wałówki” od babci) dla syna. Po pewnym czasie Leopold, nazywany już wtedy przez kolegów Lopkiem, skapitulował: porzucił Politechnikę, by bez trudu odnaleźć się na uniwersyteckich studiach humanistycznych jako teolog. Ujawnione już w czasach gimnazjalnych zapędy społecznikowskie znalazły ujście i tutaj. Przyszły pastor działał aktywnie w „Filadelfii”, grupującej studentów teologii ewangelickiej UW, był lubiany przez kolegów i środowisko współwyznawców. Gdy dostawał paczkę z domu, solidarnie dzielił się ze współlokatorami stancji smakołykami przygotowanymi przez mamę i brata, masarza.

Studia minęły bardzo szybko. W marcu 1933 roku Leopold Matz został ordynowany w kościele św. Trójcy w Warszawie przez biskupa Juliusza Burschego. Czy początkujący teolog przypomniał wtedy swemu zwierzchnikowi przyrzeczenie złożone swego czasu przez ojca? Nie wiadomo.

Roczny wikariat spędzony przez młodego pastora w parafii warszawskiej pozwolił mu nie tylko na zdobycie cennych doświadczeń

zawodowych. W Warszawie ojciec Bożeny spotkał również swoją przyszłą żonę Zofię, córkę Emila Bunna, nauczyciela i wieloletniego organisty kościoła św. Trójcy. Zwyczajowo wikariusze uczestniczyli w lekcjach śpiewu prowadzonych przez tego organmistrza w jego służbowym mieszkaniu przy ul. Kredytowej 4. Nie wiadomo, czy to tam młodzi zobaczyli się po raz pierwszy, ale na pewno wtedy poznali się bliżej. Ta znajomość zaowocowała wkrótce dość pośpiesznie zawartym małżeństwem. Po ślubie udzielonym przez księdza Michelisa w kwietniu 1934 roku pastor Leopold Matz wraz z żoną wyjechali do parafii ewangelicko-augsburskiej w Kamieniu Chełmskim, dokąd młody duchowny został skierowany przez władze Kościoła.

*

Parafia w Kamieniu miała kościół i dużą plebanię. Wiernymi księdza Matza byli niemieckojęzyczni koloniści, głównie rolnicy osiadli tam w latach 70. XIX wieku. Pastorowa nie czuła się w tym środowisku najlepiej. Męża, zaabsorbowanego sprawami parafii, całymi dniami nie było w domu, wracał popołudniami, zmęczony, ale zadowolony, bo udawało mu się aktywizować tę społeczność współwyznawców. Dlatego był nie tylko duszpasterzem zboru, ale także inicjatorem i czynnym uczestnikiem takich przedsięwzięć jak powstanie budynku poczty, ufundowanie popiersia Marszałka Piłsudskiego czy elektryfikacja wsi. Żona nieco żartobliwie oceniała zachowanie pastora, który, wykorzystując swą wiedzę techniczną, ze społecznikowską werwą wchodził też w słupełazach na wbite w ziemię bale, by osobiście instalować kolejne linie. Wydawało jej się, że nie przystoi to duchownemu.

Sama czuła się obco w nieprzytulnym, za dużym dla młodego małżeństwa budynku plebanii, nie umiała również zaprzyjaźnić się z otoczeniem. Pastorowa nie zyskała serc wiernych, a wprowadzony przez nią zakaz mówienia na plebanii po niemiecku, respektowany przez parafian, także nie przysporzył jej sympatii. Oddalenie od rodziny i znajomych z Warszawy oraz poronienie pierwszej ciąży wpłynęły na Zofię Matz depresyjnie. Dopiero narodziny córki we wrześniu 1935 roku, a szczególnie syna Andrzeja rok później pozwoliły jej odnaleźć się w tej nowej rzeczywistości ponownie. Zająta się opieką nad dziećmi i powoli przyzwyczajała do roli prowincjonalnej pastorowej. Często jednak jeździła bryczką do Chełma, gdzie mieszkali znajomi rodziny, Izbiccy, utrzymywała również ożywione kontakty towarzyskie z pastorostwem Lucerami. W zbiorach Bożeny zachowało się zdjęcie ze świąt Bożego Narodzenia spędzonych właśnie w Chełmie w gościnie u tamtejszych przyjaciół.

Z plebanią w Kamieniu związana była kolejna tragedia, która dotknęła rodzinę Matzów: zaledwie w trzy miesiące po narodzinach zmarł, najpewniej w wyniku śmierci łóżeczkowej, ukochany syn. Wstrząśnięty ojciec musiał w obecności odchodzącej od zmysłów żony uczestniczyć w pogrzebie dziecka na miejscowym cmentarzu ewangelickim. Bożena nie wie, który z duchownych (ale najpewniej ksiądz Waldemar Lucer) prowadził wtedy uroczystości żałobne. Pastor zdawał sobie sprawę, że, ze względu

rodziny, zmiana otoczenia będzie dla najbliższych koniecznością. Dlatego przy pierwszej nadarzającej się okazji, gdy tylko zwolniło się miejsce w jednej z parafii, bez namysłu zdecydował się przyjąć posadę tamtejszego administratora, tym bardziej, że był to zbór podwarszawski. W ten sposób pastor Leopold Matz z żoną i córką znaleźli się w Pułtusku. Był rok 1938.

*

Jakieś okruchy wspomnień z okresu pułtuskiego utkwily już w pamięci Bożenki. Zapamiętała plebanię położoną przy kościele, niedaleko parterowych żydowskich domków i ukochanego psa, Loldzika, który był towarzyszem jej zabaw, gdyż rodzice nie zezwalali na kontakty z dziećmi z sąsiedztwa. Czasami, gdy pastorska córka zostawała w domu tylko z opiekunką, ta widząc, jak dziecko lgnie do rówieśników, pozwalała Bożence choć na krótko pobawić się z nimi.

Pastorostwo po przyjeździe do Pułtuska dosyć szybko zaadaptowali się w nowych warunkach. Nawiązali znajomości, nawet przyjaźnie, m.in. z państwem Jezerskimi czy prawnikiem Jerzym Rotherem i wkrótce dołączyli do miasteczkowej elity. Pastor miał więcej pracy niż w poprzednim zborze, ale był zadowolony, podobnie jak żona, która udzielała się towarzysko w nowym środowisku i dość często bywała także u rodziny w Warszawie. Bożenie wydaje się, że ojciec odprawiał nabożeństwa po polsku. Zapamiętała również swoją obecność na próbie miejscowej orkiestry, w której pastor grał ma kontrabasie, rozluźniony i radosny, zabawnie, ale i efektownie obracając instrument wokół własnej osi. Wie, że na plebanii stało pianino, na którym pastor grywał od czasu do czasu.

*

Gdy wybuchła wojna, najpierw do Warszawy przyjechała Zofia Matzowa z córką. Miała nadzieję, że w stolicy będzie bezpieczniej. Po jakimś czasie dołączył do nich pastor. Zatrzymali się u dziadków Bunnów, mieszkających w domu parafialnym przy Emilii Plater. Tam dotrwali do kapitulacji miasta.

Ksiądz Matz, zgodnie z poleceniem seniora diecezji warszawskiej, pastora Lotha powrócił do parafii macierzystej. Wkrótce potem tereny północno-wschodniego Mazowsza, w tym i Pułtusk, zostały zaanektowane przez hitlerowskie Niemcy. Mieszkańcy miasta stali się obywatelami III Rzeszy. Przed wieloma rodzinami ewangelickimi pochodzenia niemieckiego stanął wtedy problem przyjęcia volkslisty. Ten dylemat dotyczył też rodziny pastora. Gdy Matzowie przyjechali do Pułtuska, przez krótki czas mieszkali jeszcze na plebanii. Potem musieli opuścić swoje dotychczasowe lokum, które przeznaczono na kwaterę dla oficera niemieckiego wysokiej rangi. Gotów on był podobno udostępnić Matzom jakieś pokoje do użytkowania, ale na to nie zgodziła się pastorkowa. Rodzinie przydzielono więc mieszkanie zastępcze: dwa pokoje z kuchnią na ulicy Piłsudskiego, zamienionej wkrótce na Hitlerstrasse.

Po powrocie pastor Matz przestał pełnić funkcję proboszcza pułtuskiej parafii ewangelickiej: było to postanowienie władz niemieckich, bo nie wydaje się, by taką decyzję podjął sam duchowny. W każdym razie wkrótce w Pułtusk pojawił się jako administrator ks. Oskar Krampitz, a po nim proboszczem w tym mieście mianowano pastora Rudolfa Kerstena. Ksiądz Matz podobno przez jakiś czas pracował jako robotnik, ukrywał się, bo być może dotarły do niego informacje o aresztowaniach przez gestapo duchownych ewangelickich uważanych za zwolenników biskupa Burschego. Nie wiadomo też, jaką postawę wobec pastora Matza zajęli jego parafianie. Część z nich zapewne z zadowoleniem, a nawet euforią przyjęła nowe porządki, ale większość była w podobnie trudnej sytuacji jak on: hitlerowcy traktowali bowiem na tym terenie deklarację przynależności do narodowości niemieckiej przez potomków byłych kolonistów niemieckich jako oczywistość, a wszelkie próby odmowy karano z całą bezwzględnością, zazwyczaj pobytem w obozie koncentracyjnym, w najlepszym razie wysiedleniem do Generalnego Gubernatorstwa.

Bożena nigdy nie poznała motywów podpisania volkslisty przez ojca, a była to decyzja, która w konsekwencji doprowadziła do rozpadu małżeństwa Matzów i rozbicia rodziny. W 1940 roku córka pastora miała 5 lat, nie rozumiała więc jeszcze dokładnie realiów okupacyjnych. Matka uważała ten temat za zamknięty i od dzieciństwa uczyła Bożenkę niezadawania trudnych pytań, córka więc nigdy z nią o tym nie rozmawiała. Gdy wreszcie Bożena po raz pierwszy po wojnie spotkała się z ojcem w Londynie w 1957 roku, ten już chorował i żadna poważna rozliczeniowa rozmowa z nim nie była możliwa. Córce pozostały więc tylko domysły i próby zrozumienia postawy ojca. Przypuszcza, że bardziej niż oportunizm kierował nim strach o życie swoje i swojej rodziny. Może uważał, że w ten sposób chroni najbliższych, zapewnia im bezpieczeństwo? Nie wiadomo, jakie, jeśli w ogóle, formy nacisku zastosowano wobec Leopolda Matza, szczególnie gdy żona, poznawszy decyzję pastora, wkrótce wyprowadziła się, zabierając ze sobą dziecko. Zamieszkała w pobliżu i podjęła starania o przesiedlenie do GG. Obawiała się, by nie odebrano jej córki.

Pastor zapewne konsultował przyjęcie volkslisty z najbliższymi. Żona, co można przyjąć jako pewnik, powiedziała od razu zdecydowane „nie”, ale rodzice i rodzeństwo w Głowińsku podjęli taką samą decyzję jak on. Również mieszkający w Warszawie teść, przerażony aresztowaniem przez Niemców większości pastorów św. Trójcy, zdecydował się na ten krok. Jego postawa spotkała się z ostracyzmem najbliższych, zresztą obu mężczyznom zarzucano wtedy tchórzostwo. W rodzinie Bunnów mówiło się, że tylko kobiety w tej rodzinie są odważne.

Po przyjęciu volkslisty pastor Matz pracował w magistracie Pułtuska, chyba jako urzędnik stanu cywilnego, bo Bożena zapamiętała, że była przypadkowym świadkiem ślubu cywilnego, którego udzielał jej ojciec. Kiedy mieszkała już tylko z matką, pastor dość często odwiedzał córkę i zabierał ją do siebie na niedziele, by w ten sposób utrzymać kontakt z dzieckiem. Bożenka zapamiętała długie spacerunki z ojcem po mieście. Po pewnym czasie Zofia Matzowa uzyskała dokument uprawniający ją do

wyjazdu do Generalnego Gubernatorstwa. W ostatnim momencie, być może dzięki wstawiennictwu pastora, na przepustce pojawił się dopisek: „mit Kind”, co pozwoliło jej zabrać ze sobą córkę. Leopold Matz pozostał sam w Pułtusku.

Odczytanie przeze mnie zamieszczonego w niedawno wydanym opracowaniu biogramu pastora¹, w którym mowa m.in. o współpracy ks. Matza z polskim podziemiem i przekazywaniu przez niego informacji z nasłuchu radiowego oraz z magistratu, każe Bożenie sięgnąć pamięcią do kontaktów ojca z Józefem Jezierskim i domyślać się jedynie podłoża tych relacji, gdyż do niej jako dziecka w czasie okupacji i później, już po wojnie, żadne wiadomości związane z tą działalnością ojca nie dotarły.

*

Dzieląca od tego momentu rodzinną granicą quasi-państwową stanowiła utrudnienie w kontaktach pastora z żoną i córką. Cały czas jednak ksiądz Matz łożył na ich utrzymanie. Bożena zapamiętała kilkakrotne odwiedziny ojca w Warszawie. Wychowywała się wtedy u dziadków Bunnów, bo mama pracowała w magistracie i zabierała dziecko do siebie tylko na niedziele.

Dwa razy córka pastora przebywała też dłuższy czas u swoich drugich dziadków w Głowińsku, zawieziona tam przez ojca. W pamięci utkwiła jej podróż koleją w wagonie z napisem „Nur für Deutsche” i konsternacja otoczenia, gdy nagle odezwała się do rodzica po polsku.

Dziadkowie Matzowie po zamążpójściu córki Friedy przekazali jej i zięciowi gospodarstwo, a sami przenieśli się do niewielkiego drewnianego domku na skraju wsi. Bożenkę cieszył pobyt w Głowińsku, bo mogła bawić się tam ze swoją starszą kuzynką, Elli, mówiącą oczywiście również po polsku. Zapamiętała też, że ojciec ochrzcił wtedy w domu wujostwa ich młodszą córkę, Hiltrud. Wie, że spędziła jedno z okupacyjnych (chyba w 1942 roku) świąt Bożego Narodzenia u rodziny ojca, uczestniczyła bowiem wtedy w pasterce w Rypinie w kościele jaśniejącym światłami i rozbrzmiewającym niemieckojęzycznym śpiewem parafian. Nie pamięta, czy wówczas przy wigilijnym stole zasiedli z najbliższymi bracia ojca i mąż Friedy, wszyscy trzej wcieleni do wojska niemieckiego (starszy – masarz, zginął chyba w 1943 roku w okolicach Przemyśla, drugi, dużo młodszy – poległ na terenie Holandii i tam został pochowany, mąż Friedy zaś brał udział w walkach na froncie wschodnim i pod koniec wojny dostał się do niewoli u Rosjan. Wrócił stamtąd dopiero po 1956 roku i wkrótce z najbliższymi wyjechał do Niemiec).

Wreszcie armia niemiecka upomniała się też o pastora Matza. Bożena nie wie dokładnie, kiedy ojciec dostał powołanie do Wehrmachtu (jeśli wierzyć podpisom pod zachowanymi zdjęciami, to był w Pułtusku co najmniej do marca 1943 roku), ale pamięta, że odwiedził je w Warszawie chyba cztery czy pięć razy już nosząc mundur. Każdorazowo dawał wtedy

1 Zob. J. Kłaczek, *Na emigracji. Losy polskiego wychodźstwa ewangelickiego w XX wieku*, Toruń 2013, s. 118-119.

mamie pieniądze na utrzymanie, dostarczał też żywność przygotowaną przez rodzinę z Głowińska, a córce przywoził prezenty. Bożena zapamiętała między innymi komplet drewnianych miniaturowych mebelków dla lalek, którymi bawiła się przez dłuższy czas. Potem pastor Matz służył w jednym z oddziałów frontowych we Francji, macocha wspominała z kolei o przynależności ojca do organizacji Todta. We Francji też dostał się do niewoli alianckiej. Ale nieliczne szczegóły z tym związane Bożena poznała dopiero w czasie swego pierwszego pobytu w Londynie w 1957 roku. Przypadkowo trafił w jej ręce mały kalendarzyk, w którym ojciec jednozdaniowo notował najważniejsze wydarzenia w jego życiu od momentu pozostania jeńcem. To z tych zapisków dowiedziała się, że trafił do niewoli angielskiej w okolicach jakiegoś francuskiego miasteczka. Razem z innymi żołnierzami, głównie Ślązakami, także przymusowo wcielonymi do Wehrmachtu, w obozie jenieckim zgłosił narodowość polską. Po przesłuchaniach, weryfikacji i kwarantannie przez jakiś czas był tłumaczem, by później jako kapelan ewangelicki zostać przesłany do oddziałów polskich stacjonujących w Szkocji.

*



*Ks. Leopold Matz jako kapelan ewangelicki
I Polskiego Korpusu. Szkocja, wiosna 1945 r.*

Gehennę powstania warszawskiego Bożenka przeszła wraz z babcią Bunnową i jej najstarszą córką Wandą w domu przy Emilii Plater. Pod koniec walk dotarła do nich mieszkająca na Chmielnej Zofia Matzowa. Po kapitulacji wszystkie znalazły schronienie w Grójcu. Tam zastał je koniec wojny. Matka dostała wkrótce pracę jako nauczycielka w pobliskiej wsi i tam też po pewnym czasie Bożenka zaczęła chodzić do szkoły.

Pierwsze informacje o pastorze uzyskano chyba dzięki Wandzie Bunn, która najszybciej z rodziny odnowiła kontakty ze stołecznymi ewangelikami. Ojciec, szukając najbliższych, napisał list — zdaje się na adres parafii warszawskiej i tę wiadomość przekazano ciotce: przeżył i był kapelanem w Polskich Siłach Zbrojnych na Zachodzie.

Później ksiądz Matz już dość regularnie pisał do najbliższych. Adresatką listów była mama, ale w każdym z nich znajdował się jakiś dopisek dla jedynaczki. Pastor Matz zaczął również przysyłać paczki i pieniądze. Nie wiadomo, czy rozważał możliwość powrotu do kraju, pewnie tak, ale w korespondencji żona mu to odradziła, obawiając się, że może zostać po przekroczeniu granicy aresztowany jako były volksdeutsch i ówczesny żołnierz armii podporządkowanej wrogiemu nowej władzy rządowi londyńskiemu. Ksiądz Matz postanowił więc ściągnąć żonę i córkę do Anglii.

Był rok 1947 i pewne trasy nielegalnych przerzutów przez Kraków i górskie szlaki na południe Europy, a stamtąd do Wielkiej Brytanii jeszcze funkcjonowały i były, zdaniem Bożeny, kontrolowane i tolerowane przez komunistyczne służby bezpieczeństwa. Pastor opłacił taką wyprawę dla dwóch osób i Zofia Matz z córką pojawiły się w Krakowie przygotowane do wyjazdu z kraju na stałe. Zatrzymały się w prywatnym mieszkaniu duchownego parafii metodystów. Pastorowa zostawiła córkę pod opieką gospodarzy, a sama ruszyła pod umówiony adres, by potwierdzić godzinę wymarszu. Trafiała jednak na „kocioł” UB i została zatrzymana. Mówiło się, że zorganizowano wtedy zasadzkę, bo hrabia Potocki zamierzał wywieźć z Polski cenne obrazy należące do jego rodziny i władze chciały temu zapobiec. Matkę po kilku dniach zwolniono, ale po tych doświadczeniach nie podjęła już próby opuszczenia kraju. Razem z córką pojechała do Kielc, gdzie mieszkały już babcia Bunnowa z ciotką Wandą. Bożenka ponownie podjęła tam naukę w szkole. Nie wie, jak wyglądała korespondencja między rodzicami w tym okresie, ale pamięta regularne przekazy pieniężne przesyłane przez ojca.

W 1949 roku zszokowana córka dowiedziała się o rozwodzie rodziców. Inicjatorem rozwiązania małżeństwa był ojciec. Rozprawy, na które jeździła matka, odbywały się w Warszawie. Pastora Matza reprezentował pełnomocnik. Po dwóch czy trzech posiedzeniach sądu orzeczono rozwód, obligując ojca do płacenia alimentów na córkę.

*

Przez następne lata trwała korespondencja pastora z Bożeną, coraz rzadsza i bardziej zdawkowa. Ojciec nie wspominał w niej, że choruje, nie informowała o tym również druga żona ks. Matza. Bożena nie pamięta, kiedy i od kogo dowiedziała się o powtórny małżeństwie rodzica. Nie poznała też dokładnej daty ślubu ojca ze starszą od niego o 10 lat Cecylią Halpern, aktywną działaczką Kościoła ewangelicko-reformowanego na obczyźnie. Z czasem przestały napływać alimenty, ale Bożena, mieszkając od grudnia 1953 roku z ciotką Wandą w Warszawie, już pracowała na półtora etatu, by móc utrzymać nie tylko siebie, ale także pomagać finansowo matce i przyrodniemu bratu, którzy pozostali w Kielcach.



Pastor Matz z córką, Bożeną w czasie jej pierwszych odwiedzin w Wlk. Brytanii. Londyn, 1957 r.

Po październikowej „odwilży” 1956 roku w Polsce, córka mogła wreszcie po raz pierwszy odwiedzić pastora. Inicjatorką tej wizyty była macocha. Bożena zobaczyła wtedy ojca po niemal 14 latach rozłąki. Wymarzona przez dziecięcą, a później młodzieńczą wyobraźnię chwila powitania na dworcu w Londynie stała się dla córki traumatycznym przeżyciem: zamiast ciepłego, serdecznego i radosnego, pełnego energii człowieka zobaczyła eleganckiego, nadal atrakcyjnego fizycznie, ale stonowanego, lekko wycofanego mężczyznę, który machinalnie przytulił ją do siebie i wypowiedział beznamiętnie jakieś zdawkowe słowa przywitania.

Bożena, która już wtedy pracowała w jednej z pracowni kliniki neurologicznej szpitala przy ul. Oczki, od razu spostrzegła, że z ojcem jest coś nie tak: raził ją automatyzm działań i pewna bezradność, zagubienie i niesamodzielność pastora. Kolejne dni pobytu w domu ojca i jego drugiej żony pozwoliły córce stopniowo poznawać losy rodzica, w skrótovej, ocenzonej wersji przedstawianej przez macochę i ze smutkiem obserwować przejawy początków, jak przypuszczała, postępującego otępienia u pastora. Bożenie trudno się było z tym pogodzić, bo ojciec miał wtedy dopiero niecałe 50 lat...

Pastor Matz był jednym z pierwszych duchownych ewangelickich, którzy pojawili się na Wyspach Brytyjskich pod koniec II wojny światowej. Przed nim przybył chyba tylko ks. Mazierski, duchowny reformowany. Matza skierowano do Szkocji, gdzie stacjonował Pierwszy Korpus Polski, którego nowe jednostki tworzone głównie z Polaków wcielonych przymusowo do armii niemieckiej (zwłaszcza Ślązaków oraz mieszkańców ziem przyłączonych do Rzeszy), którzy dostali się do niewoli alianckiej. Wspólnota losów żołnierzy ewangelików i ich kapelana, pełniącego swą służbę od 1 stycznia 1945 r. motywowała pastora do dużego wysiłku i pozwoliła mu po raz kolejny wykorzystać jego talenty organizacyjne. Był nie tylko duszpasterzem, ale i organizatorem życia religijnego i narodowego

swoich współwyznawców zarówno w polskich mundurach, jak i osób cywilnych². Odprawiał prestiżowe, podniosłe nabożeństwa m.in. z okazji zjazdów Zrzeszenia Ewangelików Polaków w Wlk. Brytanii w 1945 i 1946 roku, wizytował oddziały walczące na froncie w Europie, odwiedzał chorych i rannych w szpitalach. W Edynburgu prowadził niedzielne nabożeństwa w języku polskim, korzystając z gościny kościoła norweskiego. Do tego dochodziła działalność wydawnicza i tłumaczeniowa z języka angielskiego na polski tekstów religijnych, duszpasterskie wizyty w obozach żołnierskich i cywilnych. Wkrótce doceniono jego aktywność i pracę: mianowany został starszym kapelanem (co odpowiadało stopniowi kapitana), wybrano go również na prezesa Zarządu Głównego Zrzeszenia Ewangelików Polaków.

Po demobilizacji w 1947 roku i przeniesieniu ks. Matza do Londynu w jego otoczeniu najpierw dalszym, potem nieco bliższym, pojawiła się Cecylia Halpern. Była osobą zaradną i energiczną, umiejącą narzucić swoje zdanie innym. Jako działaczka synodu Kościoła reformowanego wyrobiła sobie pewną pozycję w środowisku emigracyjnym ewangelików polskich. Bożena intuicyjnie obwiniła ją o rozbieżność małżeństwa rodziców i ich rozwód. Ale nie umiała też określić, kiedy tak naprawdę zaczęła się choroba ojca i czy jego decyzja o rozstaniu z matką i powtórny związek z inną kobietą została podjęta przez niego w sposób całkowicie świadomy. Na pewno Cecylia była silną osobowością, osobą dominującą, konsekwentną i to być może przekonało pastora do niej. Gdy sam zaczął tracić pewność siebie, ktoś taki stojący u jego boku i wspierający go był dla księdza Matza bezcenny. Związek ten uzyskał podobno błogosławieństwo ks. biskupa Fierli, ale nie został zaaprobowany przez otoczenie. Co więcej, stał się pośrednio powodem odsunięcia pastora od działalności duszpasterskiej. Finansujący Polski Kościół Ewangelicko-Augsburski na Obczyźnie Synod Missouri nie życzył sobie bowiem wśród kadry duchownych rozwodników. Nie wiadomo, jakie warunki postawiono biskupowi Fierli jako zwierzchnikowi tego Kościoła, ale faktem jest, że to na skutek jego decyzji pastor Leopold Matz przestał pełnić obowiązki duchownego. Trudno po latach stwierdzić, czy ktokolwiek próbował mu wtedy pomóc, wstawić się za nim u przełożonego, który pozostał w swej decyzji nieugięty. Biskup Fierli w jakiś czas potem napisał do Bożeny list, tłumaczący swoją postawę. Niestety, dokument ten się nie zachował, gdyż córka pastora w końcu lat 90. zniszczyła niemal całą korespondencję dotyczącą ojca, a dzisiaj trudno jej odtworzyć szczegóły tego pisma. Nie jest też pewne, czy na decyzję biskupa Fierli nie miało wpływu zachowanie pastora Matza, będące przejawem rozwijającej się choroby: ks. Matz nie radził już sobie z wygłaszaniem kazań, jedna z prób zakończyła się upuszczeniem wszystkich kartek z tekstem niedzielnej katechezy, które spływały z ambony na podłogę kościoła.

2 Bożena poznała szczegóły tej działalności ojca dopiero dzięki lekturze krótkiego tekstu wspomnieniowego ks. Alfreda Biety. Zob. *Śp. ks. pastor Leopold Matz*, „Dziennik Polski” z dn. 1 października 1991. Materiał ten został również opublikowany w „Zwiastunie” 1991, nr 22, s. 325.

Po odsunięciu od działalności kościelnej ksiądz Matz próbował pracować w innych zawodach. Bardzo szybko, jeszcze w Szkocji, gdzie przydzielono mu mentorkę i nauczycielkę języka, nauczył się angielskiego, problemem nie była więc dla niego bariera językowa, lecz ograniczenia wynikające z choroby. Przez jakiś czas pracował na kolei jako kontroler, potem jako zwykły robotnik, ale od pewnego momentu nie był już w stanie pracować w ogóle. Anglicy zaczęli mu wypłacać rentę socjalną, Cecylia pobierała emeryturę, miała również akcje, co pozwoliło małżeństwu na dostatnią egzystencję i utrzymanie domu, kupionego jeszcze przed chorobą pastora.

Bożena nie wie, jak zdiagnozowano ojca, nigdy nie poznała żadnego orzeczenia lekarskiego w tej sprawie. W każdym razie w czasie jej pierwszego pobytu w Londynie pastor był pod stałą opieką lekarza, brał regularnie leki, przebywał w domu. Rutynę dnia wyznaczały pory posiłków i spacerów, na które chodził zazwyczaj sam. Nie lubił zmian. Godzinami siedział w fotelu i słuchał muzyki. Kontakt werbalny z nim był już ograniczony. Sporadycznie spotykał się jeszcze z zaprzyjaźnionymi rodzinami środowiska emigracyjnego, razem z żoną uczestniczył też w nabożeństwach ewangelickich obu wyznań, ale wyłącznie w roli słuchacza.

Bożena odwiedziła ojca jeszcze kilkanaście razy w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych. W początkowym okresie powojennych kontaktów z ojcem rozważała nawet możliwość pozostania w Wielkiej Brytanii na stałe, ale nie mogła znaleźć wspólnego języka z macochą. Poza tym pastor, żyjący już w swoim własnym ograniczonym świecie, w coraz mniejszym stopniu zwracał uwagę na otoczenie. Od początku lat 70. systematycznie, kilka miesięcy w roku, przebywał na kuracjach w polskim szpitalu psychiatrycznym w Mabledon pod Londynem. Pacjentami tej placówki, w której pracowała m.in. dr Wanda Piłsudska, córka Marszałka, byli przede wszystkim Polacy, głównie eks- żołnierze formacji podporządkowanych kiedyś rządowi londyńskiemu. Również personel pomocniczy szpitala stanowili w dużej części nasi rodacy.

Gdy Mabledon zamknięto, a stan ojca się nie poprawiał, Cecylia, po sprzedaniu domu, kupiła nieduże mieszkanie, mając nadzieję, że uda jej się samodzielnie sprawować w nim opiekę nad mężem. Tak się jednak nie stało: pod koniec lat 80. sama została pensjonariuszką zakładu opiekuńczego, Leopolda Matza przesłano zaś do innego ośrodka już na stałe. Żona nadal go tam odwiedzała, do pastora przyjeżdżał również ks. Alfred Bieta, duchowny luterański, pracujący w Londynie od końca lat 60.

Po raz ostatni Bożena widziała ojca latem 1991 r. Przyjechała do Londynu na krótko z koleżanką. Pastor przebywał wtedy w szpitalu w Kent. Nic nie zwiastowało, by miało to być ich ostatnie spotkanie. Ksiądz Matz od razu rozpoznał córkę i Bożena ucieszyła się, że widzi jego radosną, uśmiechniętą twarz... Ten obraz nosi w pamięci do dziś.

12 września 1991 r., dzień po urodzinach Bożeny, zadzwoniła do niej kuzynka mieszkająca w Londynie i zawiadomiła o śmierci ojca, która nastąpiła w dniu poprzednim. W jakiś czas potem skontaktował się z Bożeną

telefonicznie również ks. Bieta, wyznaczony do poprowadzenia uroczystości żałobnych. Rozmawiali dosyć długo, bo duchowny zamierzał napisać pośmiertne wspomnienie o zmarłym koledze i pytał córkę o szczegóły przedwojennego okresu w życiu pastora Matza.

Bożena nie wzięła udziału w pogrzebie ojca. Nikt jej nie powiadomił o terminie symbolicznego pożegnania najbliższej wtedy dla niej osoby. Ciało pastora Matza zostało skremowane. W uroczystościach żałobnych, prowadzonych przez ks. Bietę, uczestniczyli jeszcze czterej inni duchowni, nieliczni kombatanci, wreszcie delegacja ZEP. W jakiś czas potem w „Dzienniku Polskim” w Londynie ukazał się krótki tekst wspomnieniowy autorstwa pastora Biety. Był to jedyny przejaw pamięci emigracyjnego środowiska ewangelików Polaków o księdzu Leopoldzie Matzu.

*

Zgodnie z wolą wdowy urnę z prochami pastora zdeponowano w kancelarii notarialnej. Po śmierci Cecylii w 1995 roku i kremacji jej zwłok, prochy obojga małżonków złożono w kolumbarium cmentarza Kensal Green w Londynie. Uroczystości żałobne i tym razem poprowadził ks. Bieta.

W jakiś czas potem wykonawcy testamentu Cecylii Matz przestali Bożenie w paczce część pamiątek po ojcu. Była tam m.in. Biblia, którą pastor używał w czasie nabożeństw w Wlk. Brytanii z wklejką z agendą, rękopisy kilku jego kazań, pamiątkowe zdjęcia, odręczny życiorys.

W końcu 1998 roku po śmierci młodszego przyrodniego brata, Krzysztofa, zmarłego w wieku 47 lat, spanikowana Bożena, która wtedy też nie czuła się najlepiej, zniszczyła całą korespondencję związaną z ojcem, bo nie chciała, by ktoś obcy czytał te listy. Część materiałów przesłanych z Londynu przekazała zaś, również nieżyjącemu już dziś, ks. Adamowi Pilchowi dla potrzeb tworzonego wtedy Muzeum Ewangelickiego Duszpasterstwa Wojskowego. Teraz żałuje swoich decyzji z tamtego czasu, tym bardziej, że dokumentów tych dzisiaj nie udało się odnaleźć. Dlatego zdecydowała się na rejestrację kamerą wielogodzinnej rozmowy o ojcu, bo nie chciałaby, aby pozostał po pastorze Matzu jedynie krótki tekst prasowy ks. Biety, dwie czy trzy kilkudzaniowe noty biograficzne i zdjęcia, na których ojciec nie jest już rozpoznawany nawet przez współwynawców.

Warszawa, grudzień 2014 r.

Wspomnień wysłuchała i zredagowała tekst: Maria Kaucz

BIBLIJNE ZOO

W wielu bajkach lew jest przedstawiany jako król zwierząt. Ale przecież nie wszędzie żyją lwy! Są krainy zamieszkałe przez inne zwierzęta i można szukać innego stworzenia, które będzie najsilniejsze, najsprytniejsze i najbardziej zwinne. Wtedy zasługuje ono na miano władcy tego terenu. Takie zwierzę bardzo uważnie pilnuje porządku, dba o swoje dzieci i potrafi wymierzyć karę swoim wrogom. Po prostu daje odczuć, kto jest szefem na danym obszarze. Takim zwierzęciem jest ORZEŁ!

Ptak ten jest często przedstawiany jako wzór. Czasami mówi się o kimś bardzo zdolnym, pracowitym i osiągniętym sukcesy, że jest prawdziwym orłem. Fajnie jest zasłużyć na takie określenie, ale trzeba na nie zapracować – wyróżniać się siłą, wytrwałością i przede wszystkim nauką. Zbliża się koniec roku szkolnego. Jest jeszcze wystarczająco dużo czasu, aby się zmobilizować, pouczyć i zostać takim właśnie orłem.

W Biblii o orle mowa jest w wielu miejscach i w różnych sytuacjach (podobno aż 28 razy!) Oto jeden z fragmentów:

„Gdyż działem Pana jest lud jego, ...Znalazł go w ziemi pustynnej i w bezludnym zawodzeniu pustyni, otoczył go, doglądał go, strzegł go jak źrenicy oka. Jak orzeł pobudza do lotu swoje młode, unosi się nad swymi pisklętami, rozpościera swoje skrzydła, bierze na nie młode i niesie je na lotkach swoich, tak Pan sam jeden prowadził go...”

(V Mojż. 32. 9–12)

Mojżesz w swojej pieśni wychwala Pana Boga i porównuje go do orła, który potrafi się wzbicić bardzo wysoko i otoczyć troskliwą opieką swoje **pisklęta**. Jest bardzo odważny, a silnymi skrzydłami ochrania uczące się latać młode ptaki. Pan Bóg też chroni nas swoimi skrzydłami, wspiera nas w nauce. Powinniśmy się poważnie zastanowić, kto jest dla nas tak ważny i kto się nami opiekuje. Kto jest naszym prawdziwym „szefem”?

Obserwacją ptaków zajmują się **ornitolog**zy. Dzięki nim możemy się sporo dowiedzieć. Okazuje się, że istnieje dużo różnych gatunków orłów (sawannowy, stepowy, czarny, biało brzuchy oraz znany w Polsce orzeł przedni). Orły są bardzo szybkie. Potrafią latać z prędkością nawet 160km/h. Polują na małe ssaki (myszy, zające, kuny), ale potrafią też zapolować na większe zwierzęta typu: owce i kozy. Wzbijają się wtedy bardzo wysoko i z ogromnej wysokości lecą w dół jak pocisk i uderzają w swoją ofiarę z ogromną siłą. Ten atakujący lot nazywa się **nurkowaniem**. Podczas nurkowania ptak osiąga niesamowitą, wręcz rakietową prędkość osiągając nawet 320 km/h. Upolowaną zdobycz łapią w silne pazury – tzw. **szpony** i unoszą na duże odległości w kierunku gniazda. Orły żyją nawet do 30 lat. Budują swoje siedziby z gałęzi i patyków, ulepszając swoje budowle przez wiele lat, dlatego gniazda ich są bardzo duże i ciężkie. W Polsce orły przednie są objęte ścisłą ochroną. Żyje ich u nas tylko około 30 par.

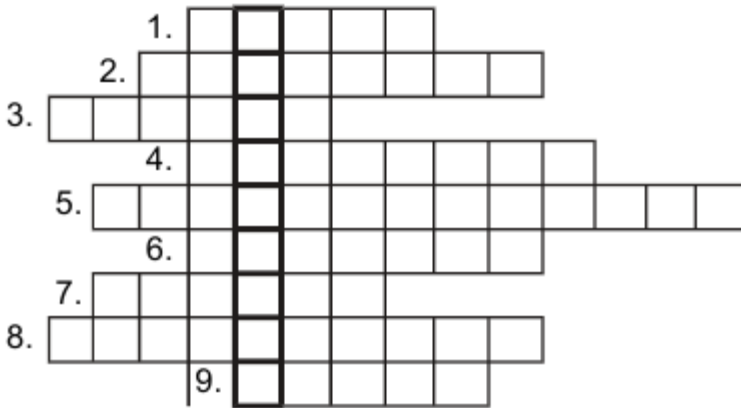
Wiosna to najciekawsza pora na obserwacje ptaków. Namówcie rodziców na spacer wzdłuż Wisły i koniecznie zabierzcie ze sobą lornetkę i atlas ptaków. Pobawcie się w ornitologów.

Ciekawostka: Orzeł Biały jest bardzo ważnym symbolem dla Polaków. Jest to nasze **godło** państwowe. Okazuje się jednak, że żyjący u nas orzeł przedni nie występuje w białym upierzeniu, a symbol naszego białego orła najbardziej podobny jest do ptaka o nazwie **Bielik**, który przez ornitologów wcale nie jest zaliczany do orlej rodziny **jastrzębowatych**.





Krzyżówka



1. *inaczej pióra*
2. *szerokie ramię ptaka*
3. *drapieżne pazury*
4. *dzieci orła*
5. *rodzina ptaków, do której należy orzeł przedni*
6. *porównał Boga do orła*
7. *orzeł biały to nie orzeł tylko....*
8. *pikujący lot ataku*
9. *znak z białym orłem*

